

## Wspomnienie zbrodni niemieckich.

Był sierpień roku 1944. Budził się dzień lenini. Z blo-  
giego snu wywołal nas lupot podkutych butów. Gestapowcy  
dobijali się do drzwi. Na czele ich przyszedł komendant Bekier  
człowiek, o zbojeckim spojrzeniu i bezkrotnym wyrazie twarzy.  
Chodząc po pokoju zapalił światło. Czego chciał? Czego szukał?  
Na biurku przy oknie leżała rozłożona książka historyczna  
nieostrożnie zostawiona przez matkę, która przedkładała mi ją kom-  
plet historyczny. Wzrost jego padł na książkę, ale wciąż, leżącą  
obok, przeglądając ją spytał czy to jest historia? Matka  
zadrżała. Teraz wzrost jego zatrzymał się na rzeczywistej książ-  
ce. Po chwili spojrzałem na matkę. Stała, siadając na usimieniu,  
chcąc niechcąc odwrócić się od okna. Wtem kalsznął ojciec  
będąc wówczas poważnie chorym. Zboje hitlerowski zostawił książ-  
ki w spokoju, udając się do chorego. Karali się ojcu na-  
tychmiast ubierać. Tego było już za wiele! Wyskoczyłem  
z łóżka, chcąc drabowi wytłumaczyć, że ojciec jest chory. Lecz ani  
moja prośba, ani płacz brata nie pomógł. Surowy kat stał nad  
nami, uspakajając, o niechybnym powrocie ojca. Wybiegliśmy  
na ulicę. Dom nasz był otoczony przez 35 cich żołnierzy.  
Na ulicy stała grupka kobiet i mężczyzn, a przy nich  
płaczące żony i dzieci. Widok był straszny. Nie mogłem  
oderwać oczu od postaci ojca, który stał przygniewany, zię-  
nając nas spojrzeniem. Śladami ojca poszliśmy za fab-  
rykę do getta. Tam za płotem tylko serce wało się do wot-  
ności, a za bramą laty się patki łez, zmieszane z gorącą  
prośbą przestania jedzenia dla swoich najbliższych. Przyeśliśmy

ty do matki nie mogłem utulić się od łez. Wtem otwarto bramy, bo wjeżdżał samochód z nowym transportem „Łoparnki”. Ojciec stał na uboczu, spokojny i bez słowa oddał mi garnet z jedzeniem. O kaci: co zrobiliście z moim ojcem? Czego on się stał na nogach! Widziałem ojca następnego dnia rano. Łapacze szaleli. Już nie tylko brano mężczyzn, ale też i kobiety. Bałem się o swoją matkę, ojciec już ma zadrudami, ale matki nie dam. Po całym miesiącu rozszła się wieść, o zamierze wywiezieniä sabrangach w niadonym kierunku. Była druga p.p. kiedy cały orszak biedaków, obstawiony karabinami maszynowymi szła z nami do stacji. Tłumy odważnie postępowały krok w krok. Pogrzeb żywych dobił celu. Otwarto wagony i nabijano w nie ludzi „złapanych”. Tłum stał murem. Do wagonów nie dopuszczano nikogo. Przez wąskie szczeliny wagonów przesuwali się tamci ludzie. Może bezpowrotnie jedzą w nieznaną drogę. Szloch rozrywa powietrze. Stoją jak nadstała mogiła. Wreszcie rozkaz zminiano, wywożą ich, ale samochodami. Którychmiastowy przetadunek na samochody... pojechali. Za nimi wyciły się tłumy ze szlochem. Licz zęboba okryła miasto. Wracałem do domu przygnębiony, bezsilny, mimowoli zagiskając pijsci.

Pajdziniski Jerzy.

Klasa VII. Szkoła Powzechna Nr. 4

Starachowice pow. ilżecki

Dn. 19-XI-1946r.